Rok I.

Nr. 12

1 Grudnia 1913 r.

HUMANISTA POLSKI

miesięcznik

Redaktor i Wydawca Aleksander Świętochowski

PIERWSZE PRZYKAZANIE.

Pomimo nadzwyczajnych a nieraz wprost komicznych wysiłków, zapomocą których polscy muezzini socyalistyczni starali się objaśnić zjawiska naszego życia społecznego przykazaniami Koranu Marks'owskiego; pomimo uznania przez nich Jagiełły i Witolda na polach Grünwaldu a Kordeckiego na wałach klasztoru Częstochowskiego za „burżujów", gnębiących „proletaryat"; nie ulega żadnej wątpliwości, że u nas „walka klas" nie rozwinęła się dotąd z silnem natężeniem i po za starciami robotników z fabrykantami snuje się jako pasmo dość łagodnych zatargów. I nie może być inaczej w społeczeństwie niewolnem, którego uwaga pochłonięta jest sprawami politycznemi, a energia wyczerpana obroną swego bytu. Twierdziliśmy oddawna a wbrew ogólnemu mniemaniu nawet wtedy, kiedy ta walka klas pozornie spotęgowała się do miary zachodniej, że ona u nas jako proces trwały jest niemożliwa, gdyż po nad wszystkiemi uczuciami i dążeniami górują narodowe. Kto chce grać na innych strunach duszy, wytwarza dziką muzykę, która wkrótce znudzi lub obrzydnie.

Podczas gdy wojna w sferze przemysłu ogranicza się obecnie do drobnych wybuchów strajkowych, wzrasta szybko i prze się naprzód potężnemi falami ruch ludowy. Ponieważ ruch ten łamie głównie tamy, któremi usiłują go powstrzymać obszarnicy wiejscy i księża, więc nadano mu bezzasadnie a może tendencyjnie znamiona klasowości. Nieporozumienie a raczej nierozumienie rzeczy. Bo jakież może zachodzić przeciwieństwo klasowe między rolnikiem wielkim a małym, a między właścicielem kilku-

nastu morgów a kilkudziesięciu włók? Obaj są wytworcami tego samego rodzaju, różnymi tylko co do zakresu swej pracy. Zasadniczo nie istnieje również sprzeczność ideowa między włościaństwem a duchowieństwem. Dlaczegoż więc nasz lud wiejski przeciwstawia się dworowi i plebanii i dlaczego tam spotyka najzaciętszych wrogów swej samodzielności? Co do obszarników, to łatwo dostrzedz, że zwalczają go wyłącznie ci, którym słaba inteligencya nie pozwala jeszcze wydobyć się ze starych form myślenia i życia. Te mumie społeczne, te robaki przechowane w bursztynach konserwatyzmu uważają dotychczas księdza za swego sprzymierzeńca i doradcę a chłopa – za potulnego i taniego robotnika. Nie mogą oni pojąć, że ten ksiądz jest zaledwie przewodnikiem dusz bardzo ciemnych a ten chłop stał się niezależnym obywatelem, który pod żadną komendą i opieką pozostawać nie chce. Gdy pan folwarczny nie jest ograniczonym umysłowo prostakiem, gdy rozumie konieczności rozwoju i naturalne stosunki interesów, wtedy staje na czele lub obok ludu jako jego przyjaciel i sojusznik, który pozbył się rojenia o potulnym i tanim robotniku, a na dobro narodu nie patrzy przez szkła proboszczowskie. Skoro zaś o powrocie dawnych stosunków między panem a chłopem nie może być mowy, trudno byłoby odgadnąć, dlaczego pierwszy chce przy pomocy księdza spętać drugiego, gdybyśmy nie pamiętali o nałogach i kalectwach umysłowych ludzi z tej warstwy. Inaczej ma się sprawa z klerem. Ten zawsze i wszędzie starał się o utrzymanie ludu w ciemnocie, gdyż wtedy tylko mógł go wyzyskiwać i nim rządzić. Nieprawdą jest, ażeby księża atakowali tylko szkoły bezbożne, bo takich szkół u nas nie ma: oni są przeciwnikami szkół wogóle, jeżeli zaś nie mogą przeszkodzić ich powstaniu, usiłują przynajmniej je opanować. Tą nienawiścią do oświaty, tą obawą zmniejszenia przez nią ich wpływu i korzyści, tą najgrubszą i najbezwzględniejszą rachubą tłomaczyć należy ustawiczne klątwy i złorzeczenia duchowieństwa na wszelkie instytucye, wprowadzające światło do ciemni ludu, a zwłaszcza ludu wiejskiego.

Te ataki, towarzyszące stale rozwojowi duchowemu we wszystkich czasach i miejscach, nie powstrzymają naszego postępu i nie zmniejszają naszego obowiązku krzewienia oświaty śród masy społecznej. Wobec 54% analfabetów, wobec ciemnoty 7 milionów ludu, wobec faktu, że musimy bronić się od zagłady z wielu stron bez dostatecznych sił do tak ciężkiej walki, niema dziś dla nas ważniejszego zadania nad tę oświatę i nad wzmacnianie tych sił. Wszystkie inne sprawy schodzą na plan dalszy. Ktokolwiek i jakkolwiek szerzy wiedzę śród naszego ludu jest zasłużonym synem swego narodu; ktokolwiek i jakkolwiek je gasi, jest zbrodniarzem gorszym od złodzieja i oszusta. Tych gasicieli, tych przeróżnych „zacnych“ kapłanów i „prawdziwych“ patryotów, którzy grzmią przeciw szkołom, niezaprzedanym ich niecnej woli, nie należy przekonywać, tylko piętnować. Kto uczy chłopa czytać, pisać, rachować, rolnictwa, ogrodnictwa itd. chociażby bez księdza i prawowiercy, ten nie obraża ani religii, ani moralności, ani Boga, ani ludzi; ale kto znieważa i powstrzymuje taką naukę, ten jest łotrem, zdrajcą i szkodnikiem swego narodu.

Obecny ruch oświatowy i emancypacyjny ludu naszego jest zdrowy, silny i płodny, chociaż w nim odzywają się nieraz tony zbyt krzykliwe. Często powtarzane hasło: „wszystko przez lud!“ może być skutecznym okrzykiem agitacyjnym, ale nie wyrazem prawdy i regułą postępowania. Lud bowiem niewątpliwie dostarczy wspaniałego materyału społecznego o nadzwyczajnej plastyczności rozwojowej, wydobędzie z siebie nowe siły, ale sam przez się nie wyjdzie z dotychczasowego położenia na wyższy poziom kultury, nie da sobie rady, będzie się długo kręcił na jednem miejscu w kole frazeologii — bez udziału kochającej go i czynnej inteligencyi. Bez tego udziału nie dźwignął on się nigdy i nigdzie ze swego upośledzenia. Wmawiać mu wszechmoc, odcinać go jako wolny i samoistny stan od innych może tylko demagogia, ale nie rzetelny demokratyzm. Lud sam nie stworzy i nie utrzyma swych stowarzyszeń, sam nie założy i nie poprowadzi swych szkół — to uczynią ludzie o wielkim rozumie i gorącem sercu, którzy go miłują, którzy go uważają za skostniały dziś, a żywy kiedyś miąsz społeczny, którzy w nim pragną wytworzyć nie pomyślność kasty, ale potęgę narodu. Dlatego najpierwszem i najważniejszem przykazaniem katechizmu naszej inteligencyi demokratycznej powinno być rozlewanie światła śród ludu.

POLITYKA.

Ugoda polsko-rusińska w Galicyi rozbiła się znowu po raz... niepoliczony. Trudno pojąć, dlaczego jest ona ciągle podejmowana, kiedy ujemny jej wynik jest z góry i nieomylnie zapewniony. Rusini i polacy znajdują się w takim stosunku nienawiści i niewspółmierności żądań, że dobrowolny układ między nimi jest nie możliwy, i nigdy nie nastąpi. Jak zwykle w wypadkach podobnego zwaśnienia doprowadzi ich do zgody samo życie, jego konieczne i nieodwołalne nakazy, które nie będą się pytały o wzajemne życzenia stron, lecz im narzucą swoją wolę.

Wiceprezes Koła Polskiego w Wiedniu i śród stronnictwa ludowego, poseł Stapiński, na którego spadł znowu grad oskarżeń a między innymi o popieranie towarzystwa, wywożącego do Kanady młodych włościan, zrzekł się swoich godności W zamęcie kłamstw, potwarzy, stronniczych manewrów, który nie przestaje zawichrzać życia Galicyi, trudno wyłowić prawdę, czy Stapiński jest niewinny— jak utrzymują jedni, czy poplamiony na charakterze—jak dowodzą inni. To tylko pewna, że ten bohater areny parlamentarnej zbyt wiele robi zagadkowych ruchów i zbyt często zmienia swoje role.

Duma petersburska rozpoczęła swoje czynności pod groźbą stanowczej opozycyi październikowców i pod wróżbą ich powolności dla rządu. Guczkow jeszcze raz powtórzył za wieloma, którzy go poprzedzili, że „tak być nie może“ na co ludzie doświadczeni odpowiedzieli, że tak dalej będzie.

Po drodze.

Apostrofa do p. Kijowera. Uroczystość Poniatowskiego. P. Kossak zarabiający na oburzenie patryotyzmu. Raut w Towarzystwie Naukowem. Handel żywym towarem w szerszym zakresie.

Niech pan Mojżesz Srulowicz Kijower, który każe nam się wynosić z tutejszego „izdrewle judejskawo kraja“ oraz „zasymilowany“ p. Leon Goldsilber, który niegrzeczność względem p. Kijowera uważa za „wyzucie się z humanizmu i kultury“, a przyciskając jedną rękę do „polskiego“ serca, drugą kiwa, szepcząc: „kim Mojsie, onysz kimojre!“ — niech te oba najszlachetniejsze okazy rodu człowieczego zauważą w poniższych wierszach, jak m y mówimy o s o b i e. Może ich to pobudzi do pomówienia o 23 fałszerzach wekslów, sądzonych w Piotrkowie, o 34 handlarzach żywym towa-

rem, złapanych w Warszawie, o tym litwaku, dyrektorze przedsiębiorstwa naftowego, który zabronił prowadzić księgi, pisać i rozmawiać po polsku, o tym rodaktorze D n i a petersburskiego, który w swem piśmie kazał polakom wileńskim rznąć żydów, za co skazany został na kozę, o nikczemnych odczytach Żabotinskiego w Łodzi, o tych licznych bohaterach szachrajstwa, napastniczości, chamstwa, potwarzy, o których oni dyskretnie milczą, bo „ludu wybranego“ nie poddaje się żadnej krytyce. On dla spełnienia swej misyi potrzebuje dużo bezkarności i tajemnicy — inaczej nie ręczy za jej powodzenie. —

Setna rocznica śmierci ks. Józefa Poniatowskiego, przeszła tak, jak w tragedyi Szekspirowskiej: smutek połączył się z komizmem. W Elsterze razem z tym „rycerzem bez trwogi i skazy“, z wielkim patryotą i szlachetnym człowiekiem utonęła ostatnia nadzieja ratunku Polski od niewoli. Od tej chwili rozpoczyna się dla narodu straszna, ciemna noc, bez gwiazd i świtu. To jest smutek. Na uroczystości w Krakowie znalazł się tylko jeden redaktor z Warszawy, który przyniósł wiadomość, jak dziwną pustką odbijała się nieobecność przedstawicieli prasy naszej, wylewającej łzy frazeologiczne nad trumną tego, któremu „Bóg powierzył honor polaków“. Jeden z arystokratów tutejszych wiózł na tę trumnę wieniec z kwiatów polnych z pod Raszyna: komora austryacka w Szczakowie kazała mu zapłacić za nie wysokie cło. Idyotyzmu fiskusa austryackiego, zdaje się, nie przewyższył dotąd żaden inny, ta wszakże jego operacya zadziwiła najbardziej oswojonych z c. k. łupiestwem. Uśmiano się z niej w całej Europie.

Czytelnicy zapewne przypominają sobie, że c. k. malarz W. Kossak wydał opis swoich spotkań z dwoma monarchami, w którym zaznaczył, że mowa Wilhelma II przeciw polakom i gwałty na dzieciach polskich we Wrześni zmusiły go do zerwania wszelkich stosunków z dworem pruskim. Jakkolwiek widzieliśmy, że p. Kossak za długo się namyślał i mógł daleko wcześniej znaleźć dostateczny powód do rozstania się z ukoronowanym protektorem, przypuszczaliśmy, że skruszony grzesznik polityczny nie wróci już na dawną drogę. Tymczasem dowiadujemy się z gazet, że p. K. przebywa obecnie na dworze następcy tronu niemieckiego. Objaśnić należy, że przyszły władca Germanii jest w odniesieniu do polaków zwolennikiem „ostrzejszego kursu“. Już kilkakrotnie to ujawnił, a co jeszcze musi zrobić, ażeby p. Kossak uległ znowu atakowi patryotyzmu — trudno odgadnąć. Chociażby jednakże w przystępie szczerości oświadczył artyście, że ten jest mu „lästig“, nie będzie to jeszcze wcale przeszkodą, ażeby p. Kossak wydał nową seryę patryotycznych pamiętników a następnie przyczepił się do jakiegoś Hohenzollerna. Nie liczmy mu jednak tego za złe: podobno nie ma takiego paskudztwa, którego nie wolno byłoby popełnić artyście. Sztuka jest to praczka, która wypiera wszystkie plamy swych dzieci.

Warszawskie Towarzystwo Naukowe ozdobiło swój doroczny raut obecnością i odczytem p. Curie-Skłodowskiej, która przybyła z Paryża dla urządzenia w niem pracowni do badań nad ciałami promieniotwórczemi. Mówię: raut, gdyż trudno znaleźć właściwszy wyraz dla określenia tej szczególnej uroczystości, w której wszyscy zaproszeni tytułowani są na biletach „jaśnie wielmożnymi“, obowiązani mieć „ubranie frakowe“ i wpatrywać się w oblicze hrabiego protektora, siedzącego na złoconym fotelu. Ani Instytut Pasteura w Paryżu, ani Instytut bakteryologiczny w Berlinie, ani nawet Instytut medycyny doświadczalnej w Petersburgu nie zachowuje tych zwyczajów arystokratyczno-balowych. Cenimy ofiarę z ładnego domu, jaką dał Towarzystwu hr. Józef Potocki, ale ani za tę cenę, ani za żadną przybytek nauki nie może zmieniać swego charakteru. Jeśli w jej świątyni mają się odbywać jakieś uroczyste i publiczne nabożeństwa, to nigdy celebrantami w nich nie powinni być utytułowani i nieutytułowani dobroczyńcy, lecz uczeni. Roześmiałby się świat serdecznie, gdyby Rockfeller prezydował we wszystkich instytucyach, które uposażył. Pięknym czynem bogatego obywatela jest nie tylko coś społecznego stworzyć lub obdarować, ale względem swego dzieła na właściwem miejscu stanąć.

W Galicyi odbywa się ciągle tropienie złoczyńców, którzy pod firmą *Canadian Pacific* namawiali i wywozili za ocen młodzieńców chłopskich. Pomijamy w tej chwili domniemanych i sprawdzonych winowajców oraz cele ich zdradzieckich sideł; stwierdzamy tylko nową postać szeroko rozpostartej i przeważnie bezkarnej zbrodni, noszącej w ściślejszem znaczeniu nazwę „handlu żywym towarem“. Śród

rozczulonych orędownictw i patronatów różnego rodzaju, śród prawnych i policyjnych zabezpieczeń każdej jednostki, śród wzniosłych haseł i surowych kodeksów odbywa się prawie jawnie w społeczeństwie polskiem podstępne łapanie i wywożenie kobiet do domów rozpusty i takież samo łapanie i wywożenie na dalekie rynki młodych rąk roboczych. Tu i tam działa łotrowska spekulacya, podstęp i okrucieństwo. Polska od lat wielu płaci corocznie straszny haracz ze swych dzieci Molochowi amerykańskiemu — i nie ma żadnej nadziei, ażeby ją od niego jakaś dobra moc uwolniła.— Te dzieci giną w najokropniejszych poniewierkach i męczarniach — a jedynemi łzami, jakie się wylewają nad ich niedolą, są krople atramentu, spływające z piór sentymentalnej frazeologii dziennikarskiej. Dlaczego ta czuła płaczka, szczypiąc Stapińskiego, przeszła milcząco około jednego z głównych naganiaczów emigracyjnych w Galicyi — ks. Szpondra? Bo my względem księży zachowujemy tę samą solidarność milczenia, co żydzi względem siebie.

Rolę kwiatka, kwestującego na cele dobroczynne wiosną i latem, spełniają obecnie teatry i estrady. Prawie codzień odbywa się koncert lub widowisko na korzyść jakiejś instytucyi społecznej. Z wyjątkiem szczerych polaków pochodzenia żydowskiego, którzy ani w patryotyzmie, ani w ofiarności nie dają się nikomu prześcignąć, cała tutejsza Judeja i Judeo—Polonia bojkotuje wszystkie te przedsięwzięcia, pragnąc je ogłodzić. Chociaż ten szlachetny zamiar sromotnie zawodzi — trzeba go jednak zapamiętać.

H. D.

Bratne.

Oświata ludu polskiego, od której bardziej niż od wszystkich innych czynników zależy przyszłość narodu, zwraca naszą myśl i starania głównie w dwóch kierunkach: ku zakładaniu szkół początkowych, usuwających analfabetyzm i ku zakładaniu niższych szkół rolniczych, powiększających sprawność ekonomiczną i obywatelską włościaństwa. Tych ostatnich powstał już pokaźny szereg, zaledwie jednak w drobnej części odpowiadający potrzebie a przytem oparty na chwiejnym gruncie. Są to bowiem wyłącznie „kursy“, jedenasto-lub pięciomiesięczne, w każdym razie czasowe, istniejące na mocy corocznie wydawanych i odnawianych pozwoleń ministeryalnych. Chociaż ta forma legalizacyi uwalnia je od pewnych konieczności co do języka, ma tę wielką wadę, że nie pozwala im utrwalić się i zabezpieczyć od możliwej odmowy pozwolenia. Pożądanym warunkom czyni zadość inna, po raz pierwszy do nas wprowadzona postać uczelni, mianowicie „ferma praktyczna dla kształcenia młodych włościan w gospodarstwie wiejskiem“. Naprzód jest to zatwierdzona przez departament rolnictwa samoistna jednostka prawna, instytucya trwała, pozostająca pod opieką komitetu, złożonego z 7-u osób i zapełniającego swe ubytki wyborem własnym. Powtóre, nauka odbywa się w niej zapomocą zajęć praktycznych i pracy warsztatowej, uzupełnianych jednocześnie lub następnie objaśnieniami teoretycznemi z zakresu sztuk przyrodniczych, rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa, weterynaryi i t. d. Taką fermą jest B r a t n e w Gołotczyźnie pod Ciechanowem.

Składane przez kilka lat drobne i większe ofiary do rozporządzenia A. Świętochowskiego oraz zebrany podczas jego jubileuszu fundusz (razem około 9000 rb.), były skromnym zaczątkiem materyalnym tej instytucyi. Odrazu jednak zyskała ona szeroką i mocną podstawę dzięki właścicielce majątku i twórczyni takiejże „Fermy“ dla dziewcząt wiejskich, p. Bąkowskiej, która darowała 70 mórg ziemi wartości około 16,000 rb. Za tym darem poszły inne — w pieniądzach: p. p. R. Krzyżanowski z Kijowa, L. Meyet, J. Kolski, E. Śliwiński, Bank handlowy, W. Sawicki, Kazimierz, Józef, S. i L. Natansonowie, Dr. Tomaszewicz-Dobrska, Niepokojczyccy, Zakł. Żyrardowskie, J. Zaleska, M. Hulanicka, Bron. Reichman, „Pustelnik“, S. i J. Sikorscy, „Wołyń“, L. Fryze, M. i W. Braunsteinowie, Br. Jabłkowscy, K. Życki, Łypacewicz i t. d. lub w przedmiotach, L. Kanigowska, Br. Eiger, S. Dłużewski z Dłużewa, J. Mayer, I. i A. Mayznerowie, Br. Tyszka, Wł. Leppert, K. Brunn, B. Epstein, Tad. Popowski, S. Reicher i inni. Dzięki im a zwłaszcza dzięki szlachetnej, ofiarnej i zabiegliwej pomocy p. Br. Natansonowej, powstał wedle planu bud. R. Gutta piękny budynek szkolny, odmalowany wewnątrz pod kierunkiem artysty W. Radwana, zaopatrzony i urządzony na 45 pensyonarzów, powstały budynki gospodarcze z mleczarnią, łaźnią, pralnią

i warsztatami. Około domu założono ogród ozdobny z drzew i krzewów ofiarowanych przez p. F. Rożyńskiego oraz pięciomorgowy sad owocowy z daru p. Piotra Hosera.

Dotychczas „Bratne" działa jako 11 miesięczne kursy, od n. roku zacznie istnieć jako „ferma praktyczna dla kształcenia młodych włościan w gospodarstwie wiejskiem", prowadzona przez wychowańców uniw. krakowskiego, p. p. W. Radwana przyrodnika i S. Heltmana rolnika przy pomocy innych instruktorów i majstrów.

Kapitał pierwotny, nawet powiększony późniejszymi zasiłkami w pieniądzach i przedmiotach, nie pokrył kosztów budowy i utrzymania instytucyi, która idzie w przyszłość obciążona kilkunastoma tysiącami rubli długu. Ale idzie nie tylko z przekonaniem, że spełniać będzie zadanie ogromnej wagi, lecz także z wiarą, że ofiarność społeczna będzie nad nią czuwała. Ta ofiarność zastępuje nam bogaczów i skarbce państwowe, których nie mamy i zmuszeni jesteśmy najcięższe brzemiona przedsiewzięć obywatelskich dźwigać słabemi siłami starań i poświęceń jednostkowych [1]).

Warszawski towar.

Co pewien czas zrywa się burza ostrych oskarżeń, grzmiącej zgrozy; co pewien czas załamujemy rozpaczliwie ręce lub gniewnie zaciskamy pięści; i zawsze potem następuje to samo: wyładowawszy w słowach całą energię naszych dusz, uspakajamy się, czekając aż zbierze się nowy jej zapas, który znowu wybuchnie pustym dźwiękiem.

Ileż to już razy rozbijaliśmy powietrze okrzykami oburzenia z powodu handlu tak zwanym żywym towarem, a czy to spowodowało bodaj najmniejszą zmianę w zwyczajach panujących na tym rynku? Zastanówmy się, a sami znajdziemy wyjaśnienie tej wiecznie krwawiącej rany, tej hańby ludzkiej. Na chwilę nie znika ona z naszego życia, nie przestaje kołatać do naszej myśli, do naszych serc. Czy słyszymy te milczące a tak wymowne oskarżenia, te wołania rozpaczne? Czy głusi i ślepi nie przechodzimy codziennie obok tej najwyższej krzywdy? A nawet częstokroć, czy nie odwracamy się od niej ze wstrętem i pogardą?

Kamienujemy pośredników, dostarczycieli rozpusty, dlaczegóż ten święty gniew, jakim przeciw nim wybuchamy, nie rozpłomienia nas wobec czcigodnych ojców, deprawujących własnych synów, matek, patrzących przez szpary na ich niecne życie, kobiet, uprawiających rozpustę pod płaszczykiem małżeństwa, w zaciszu domowego ogniska sprzedających uściski za pieniądze na zbytki i stroje? Nie pod latarniami się przechadza, najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla naszej czystości, dla zdrowia duszy i ciała, lecz w samem sercu środowiska domowego, w codziennem obcowaniu ze zgnilizną moralną, z obłudą, fałszem i upodleniem, których blizkość i bezpośredniość tak samo zabija, jak zarazki cholery lub dżumy. Naprzód złe wychowanie i zły przykład, potem złe książki, a następnie i wskutek tego dopiero domy rozpusty. Nie byłoby handlarzy, gdyby nie było zbytu na towar. Oni przecież dogadzają tylko naszym pragnieniom; ich stworzyła nasza potrzeba—tych kusicieli, odgadujących najtajniejsze drgnienia naszych żądz i myśli podskórnych, tych kapłanów, ministrujących naszemu rozpasaniu i niecnocie.

Żydzi — czyż tylko żydzi? Na całym świecie handel ludźmi jest przecież najzyskowniejszem targowiskiem. I doprawdy, bądźmy sprawiedliwi, nie mniej korzystne i rozległe prowadzą się operacye na tem polu tam, gdzie żydów jest względnie mało, niż tam, gdzie się od nich roi. Zgnilizna wszelkiego rodzaju zawsze będzie żerowiskiem, przyciągającem szakale i hyeny bez różnicy płci i rasy.

U nas, istotnie, jak wiele innych najzyskowniejszych procederów, i ten udało się żydom prawie wyłącznie opanować. Z Warszawy zrobili oni hurtownię tej gałęzi „interesu", hurtownię zażywającą już dziś wszechludzkiej sławy. Tu się zbiegają drogi handlowe, wiodące z najdalszych stron; tu zjeżdżają się kupcy z północy, południa i wschodu; tu się regulują i ustanawiają ceny; tu jest sortownia i ekspedycya; stąd pod etykietą „polski" idzie towar w szeroki świat, do najdalszych jego zakątków wnosząc świadomość istnienia krainy, będącej głównem źródłem je-

---

[1]) „Bratne" jest przybytkiem wiedzy zupełnie zabezpieczonym i uniezależnionym od jakichkolwiek celów ubocznych i partyjnych. To też dziwnym i niewłaściwym był w Świecie podpis pod fotografią, przedstawiającą zebranych przed kilkunastu dniami protektorów i przyjaciół tej instytucyi: „członkowie Zjednoczenia postępowego", których na 40 osób było — czterech. Osobliwa fantazya!

go dostawy. Nie same nasze wiochny, Kasie i Marysie, reprezentują tam polskość, pod tą nazwą przemycają się też znaczne zastępy Sur i Rachel; a garbatę nosy, włosy kręcone i gardłowy akcent mowy, zarówno jak rajfurstwo, fałszerstwo i wszelkiego rodzaju plugastwo stały się już dziś nieodłącznym rysem tak zwanego za granicą „polaka".

Ostatnimi czasy wypędzono z Argentyny około dwóch tysięcy właścicieli lupanarów. Był to istotny pogrom tych procederzystów, podobno samych żydów. Wygnańcy, oczywiście, przybyli szukać schronienia w Warszawie; lecz i tu miało ich spotkać nieszczęście. Miejscowi sutenerzy, zagrożeni w swych interesach, dali znać o wszystkiem policyi, której udało się tym sposobem położyć rękę na najgrubszych rybach, a nawet samym „prezesie" całej organizacyi.

I cóż stąd? Czy to jest wycięcie wrzodu? Wszakże chorobę znamy od dawna i dość często oglądamy ją w całej jej ohydnej nagości. Aresztowanie kilkudziesięciu lupanarzystów, a także choćby najgłośniesza wrzawa w prasie stosunków, od wieków zgniłych, nie uzdrowi; nie uzdrowiłoby ich również wypędzenie wszyst kich nawet żydów. Po ich odejściu znaleźliby się zaraz niewątpliwie najrodowitsi, najczystsi aryowie gotowi do usługi pozostałym apetytom.

Więc z piętnem kainowem wkraczamy w XX stulecie; i długo jeszcze zapewne nieść je będziemy, aż sam w sobie przetworzy się człowiek oczyści, i z ciała swego, a nietylko z ducha, zapragnie uczynić świątynię.

J. P.

Smutne dzieje.

Myślą niespokojną i stroskaną zwracamy się bezustannie ku tej nieszczęsnej krainie, tak srodze przez złe losy nawiedzonej. Straszny obraz tegorocznych klęsk Galicyi dał w T y g o d n i k u i l u s t r o w a n y m prof. dr. Antoni Górski. Ile można zamknąć tragizmu w niewielu słowach krótkiego artykułu, tyle go zawarł w swem zwięzłem zestawieniu wszystkich przyczyn i skutków obecnej ciężkiej doli tej najpiękniejszej i od przyrody najbardziej uposażonej dzielnicy polskiej.

Targana wewnętrznemi waśniami politycznemi, wyzyskiwana i stale a tendencyjnie upośledzana przez rząd austryacki, nie zdołała Galicya dotąd osiągnąć tego stopnia dobrobytu i kultury, jaki od dawna w tych samych warunkach posiedli czesi.

Lud ciemny i na pasku długo wodzony, mieszczaństwo i szlachta rozpolitykowane, własne cele, osobiste interesy i ambicye mający przedewszystkiem na widoku, karyerowiczostwo i służalcza niemal uległość wobec rządu — oto główne przyczyny, które hamowały rozwój kraju cywilizacyjny i gospodarczy. Bo gdyby ci, którzy stali u steru jego życia, więcej troskali się byli o jego dobro, niż o pomyślne losy swojej karyery, lepiej pamiętali o jego potrzebach i walczyli o nie bardziej stanowczo, niż o teki i wpływy w Wiedniu, o intratne stanowiska i wysokie urzędy w kraju — Galicya inaczejby dziś wyglądała.

W strasznych warunkach, coprawda, otrzymała ona prawo samorządu. Stan ogólny zaboru zdawał się wówczas rozpaczliwy: po przeszłych zawieruchach politycznych i społecznych wszystko leżało w gruzach; nie było szkół, nie było dróg, nie było przemysłu, rolnictwo znajdowało się w pierwocinach rozwoju. Pierwszy budżet kraju w 1866 r. wynosił zaledwie milion, stopięćdziesiąt tysięcy koron, a dziś dosięga dziewięćdziesięciu milionów. Ale też dziś właśnie kraj ten ledwie dyszy pod wzmagającemi się z każdym rokiem naciśnięciami śruby podatkowej. Dziesięć koron z morgi płaci wieś, a miasto przeszło trzecią część czynszu, pobieranego od lokatorów. Po nad to od lat stu rząd uważa Galicyę za dostarczycielkę rekruta i pole zbytu dla fabryk dolno-austryackich i czeskich. A kiedy spada na kraj tak straszna klęska, jak obecna, pomoc tego rządu wyraża się w mizernej kwocie ośmiu milionów koron na dwieście siedemdziesiąt milionów strat wedle obliczeń urzędowych, które, delegowany do zbadania szkód wysoki urzędnik ministeryum robót publicznych, uznał za zbyt nizkie.

Przedstawiciele społeczeństwa, Koło polskie w Wiedniu ustępliwie i potulnie pozwalają sobie wyperswadowywać sprawy najgłośniej, najgwałtowniej domagające się załatwienia — bo względy polityki państwowej, nawet międzynarodowej, żądają od polaków tej ofiary z własnego dobra. Więc kraj czeka, od tylu lat obiecywanej i zawsze dla tej lub owej racyi wyższego względu odkładanej, regulacyi rzek. Jak gdyby mogła istnieć racya wyższa, nad racyę konieczności zabezpieczenia mienia i życia

milionów od nieobliczonych wybryków szalonego żywiołu, nad racyę dbałości o pomyślność i szczęście własnego narodu.

Sześć razy w ciągu ostatniego dziesięciolecia wylewy rzek pustoszyły Galicyę, ale żaden rozmiarami klęski nie dorównał tegorocznemu. Deszcze, padające bezustannie od połowy czerwca do połowy września, całe obszary pól uprawnych zamieniły w grząskie trzęsawiska, a lasy wielomorgowe zniosły ze stoków górskich w doliny. Rzeki, wystąpiwszy z przepełnionych łożysk, zalały i zatopiły wielokrotnie ziemie, dobytek, chaty, domy i zabudowania. Zupełnej zagładzie uległy wszystkie płody ziemi, owoce pracy ludziej, cały wieloletni dorobek został zniszczony. Społeczeństwo galicyjskie w ogromnej swojej masie znalazło się wobec strasznego widma nieuniknionej nędzy i głodu.

Dobrze jest wmawiać sobie, że zdrowe społeczeństwo samo złemu zaradzić umie, i podniecać je do wysiłków samopomocy. Jest ono zawsze czułe na takie wezwanie, jakkolwiek wrażliwość jego nie trwa długo. Ale czy można się temu nawet dziwić, gdy z roku na rok, z dnia na dzień mnożą się klęski, rośnie i potęguje się niedola nasza? Ze wszechstron podnoszą się wołania o pomoc: tu Macierz Cieszyńska stanęła u wrót bankructwa, tam Tow. Sz. Lud. widzi się zmuszone do ograniczenia działalności swojej, ówdzie tysiące spraw, pierwszorzędnej wagi dla kultury i cywilizacyi polskiej, czeka napróżno załatwienia — wszystko dlatego, że samopomoc społeczeństwa nie jest w możności dźwignąć i przeprowadzić tych wszystkich zadań.

Samopomoc — to znaczy wszyscy, to wszystkie ręce zgodnym ruchem wnoszące swego obola do skarbony potrzeb narodowych — kto grosz, kto rubla, kto tysiące. Ale u nas jak dotychczas mało się słyszy o takiej samopomocy; wyraża się ona przedewszystkiem ofiarnością jednostek, niekiedy zdumiewającą, bezprzykładną, lecz niewystarczającą na zaspokojenie wszystkich potrzeb. Jeśli doczekamy lepszych czasów, pomniki będziemy stawiać tym wielkim ofiarnikom naszym; a tymczasem musimy raz wraz słuchać groźnych kołatań do samowiedzy naszej i twożnego bicia w dzwony, zwiastującego zbliżanie się jakiegoś ogólnego nieszczęścia. I choć pragnęlibyśmy całą siłą ducha pójść na ratunek, ze związanemi rękami stać nam częstokroć przychodzi i patrzeć prawie bezradnie, jak w strasznej męce i bólu wije się życie i od zagłady broni.

Wszystkim mieszkańcom Królestwa nie będzie danem wziąć udziału w pomocy dla Galicyi.

Żywiołową klęskę poprzedziło tam przesilenie ekonomiczne, wywołane zawieruchą na Bałkanach. Przez wiele miesięcy kraj był trzymany w nieustannej grozie nadciągającej wojny. Spadły w cenie o jedną czwartą dobra ruchome i nieruchome, ziemie, domy, papiery wartościowe, ruch handlowy został ograniczony do minimum. Niema pieniędzy i niema kupujących, rozwielmożniła się tylko lichwa i w ślad za tem idąca gorączka emigracyjna. Wszystko, zdaje się, legło w gruzy, jak przed dziesiątkami lat.

Czy z tego strasznego upadku kraj zdoła podźwignąć się tak prędko, aby w rozwoju swoim nie cofnąć się zbyt wstecz, a wskutek tego nie stać się pastwą czyhających na jego życie wron i kruków — przyszłość pokaże.

P. S.

Adam Mahrburg.

(wspomnienie pozgonne).

Nazwano go nauczycielem filozofii. Istotnie, był to urodzony profesor, który umiał wzbudzać cześć dla wiedzy i zagrzewać do jej umiłowania. W latach między 1890 a 1906 usilna jego praca w kółkach samokształcenia pozostawiła niezatarte ślady. On przygotował i wykształcił materyał, z którego wyszedł cały dzisiejszy ruch filozoficzny w Polsce. Lecz jego talent naukowy nie zdołał się zaznaczyć żadnem większem dziełem dlatego właśnie, iż zbyt pochłaniały go wykłady. Przedziwnie proste i jasne było zawsze jego słowo zarówno wtedy, kiedy przemawiał do wpatrzonych w niego słuchaczów, jak wówczas gdy za pośrednictwem druku walczył o wolność nauki, o jej prawa i wartość. Nie miał nigdy odpowiedniej dla siebie mównicy; skrycie po prywatnych mieszkaniach zbierali się jego uczniowie i uczennice, a każdemu takiemu zebraniu towarzyszyła nieodłącznie niepewność nawet obawa, które wypłaszało zazwyczaj budzące zaciekawienie, pełne równowagi i spokoju słowo Mahrburga. Młodsze pokolenia naszych

myślicieli jemu zawdzięczają bardzo wiele i o tem nigdy zapomnieć nie powinny.

Urodził się na Litwie, gdzie rodzina jego osiedloną była od czasu przybycia jej w r. 1812 do Polski. Pochodzenia, jak sam utrzymywał, słowackiego, czuł się zawsze tylko polakiem. Prace jego rozproszone po różnych wydawnictwach, gdyby zostały zebrane i drukiem ogłoszone, przyniosłyby niewątpliwie wielką korzyść w dalszem popularyzowaniu wiedzy filozoficznej, które tak skutecznie prowadził za życia w swych wykładach.

Z literatury.

Savitri: Utopia, powieść.

Miłością żyć człowiek powinien, albowiem ona w złem nawet od zmazy go uchroni, z brudu grzechu oczyści i duszę jego w niepokalaniu zachowa. Ale ta miłość musi się z ducha wywodzić i żądzom cielesnym nie podlegać. Z pod jej mocnego prawa nikt się wyłamać nie może bez krzywdy dla własnego i cudzego dobra. Ona, jak latarnia morska, w najsroższe burze wskazuje zawsze, gdzie przystań bezpieczna się znajduje i drogę, która do niej wiedzie. Ona daje siłę do walki o ten cel upragniony, wytrwałość do znoszenia trudów tej walki i cierpliwość w pokonywaniu przeszkód, bezlitośnie targających długą i mozolną pracę serca. Ona wreszcie ratuje od ostatecznego zwątpienia i rozpaczy a jak feniks, wiecznie odradzająca się z popiołów, bólem złamaną duszę podnosi, prostuje, wlewając w nią nową moc, nową otuchę. Ta twórcza i święta jej robota wnosi światło i ciepło do mrocznych i zimnych spraw życia, choćby w najdalszem oddaleniu, choćby w najtrudniejszych warunkach zapewniając sobie zwycięstwo. Taką piękną wiarę ogłasza nam nowy utwór Savitri. Już za to samo należy jej się podzięka.

Zdawałoby się, że cel życia dla wszystkich jest jeden: budownictwo szczęścia, tkwiące przedewszystkiem w zachowaniu tegoż życia i rodzaju. A jednak tu właśnie, w tym najpotężniejszym, najświętszym instynkcie wikłają się i najsrożej sobie przeciwstawiają dążenia ludzkie. Mężczyzna i kobieta występują stale jako wrogowie, przeciwnicy, którzy tylko chwilowe zawierają sojusze, prędko przez jedną lub drugą stronę zrywane. W tym razie jedna zawsze jest ofiarą, tem większą, o ile egoizm drugiej jest bezwzględniejszy.

Czy miłość Lity, szukającej nawet za cenę najwstrętniejszego okupu utrzymania łączności z ukochanym, nie jest najszkodliwszą z utopij — zastanawiać się nie będziemy. Człowiek posiada przynajmniej jedną niezaprzeczoną wolność: prawo wyboru drogi, mającej go zawieść do zbawienia. Więc choć nam się zdaje, że Lita niepotrzebnie szargała swą piękną duszę po brudnych sadzawkach życia, w tem jej poświęceniu widzimy tylko dowód jej wyjątkowej wielkości. W cieniu tak potężnego i świętego uczucia może się krzewić tylko najpiękniejsze kwiecie cnoty i dobra. I tak też się dzieje. Najgorsze czyny Lity, popełniane przez nią w pragnieniu utrzymania łączności z umiłowanym, który popadł w obłęd złego, dają skutek wprost przeciwny zamierzonemu: jak u św. Elżbiety nawet z kłamstw jej tworzą się wspaniałe róże, zdumiewające barwą i wonią.

Kto chce pokrzepić się w obcowaniu z pięknemi i szlachetnemi myślami, niech tę książkę przeczyta.

Sad.

NOWE KSIĄŻKI.

Dr. med. A. Tomaszewicz - Dobrska. Sprawozdanie z działalności Przytułku 2-go za cały czas jego istnienia od 17 listop. 1882 do 1 lipca 1911 r. str. 30, z 8-ma tablicami statystycznemi. Warszawa.

Kto chce się dowiedzieć, jak dowcipnie i wesoło można przedstawić najdotkliwsze utrapienia i częstokroć wprost tragiczne położenie lekarza na trudnem i odpowiedzialnem stanowisku działacza społecznego u nas przed trzydziestu laty i dotychczas, niech przeczyta tę pracę. Zamiast jęku i utyskiwania, znajdzie tu wszędzie żart i tę subtelną ironię, którą człowiek wrażliwy broni się od roztkliwienia i smutku; lecz i coś więcej także: uczciwość i szczerość, nie wahające się przed powiedzeniem prawdy, a nawet samooskarżeniem. Autorka, jako lekarz naczelny Przytułku 2-go, przez trzydzieści lat walczyła z brakiem, graniczącym z nędzą w powierzonym sobie zakładzie. Rada Miejska Dobroczynności publicz-

nej, od której zależała, rozumiała tylko jedno słowo: oszczędzać i, zatykając uszy na wszelkie wołania ludzkości i obowiązku, zostawiała jej swobodę wydobywania się, jak się uda, z najrozpaczliwszych położeń. Łatwo się domyśleć, jak sobie radziła. Ofiary nie zapychały jednak dziur, które robiła potrzeba, więc praca w tych warunkach była zawsze toczeniem wielkiego kamienia pod górę. Wiedza, którą się posługiwała przyczyniała jej także niemało zgryzoty — wszystko trzeba tu było okupić doświadczeniem i praktyką, a to jest mądrość, która się darmo nie daje. O tych wewnętrznych tragedyach duszy i serca nie wspomina jednak autorka, lecz można je wyczuć w żarliwości, z jaką przyznaje się do błędów i omyłek.

Takich przytułków, mogących pomieścić od 10 do 20 chorych, posiadała Warszawa do niedawna pięć. Dzieje 2-go dają pojęcie o niewesołem istnieniu innych.

William Shakespeare: Dzieła dramatyczne tom XII: Troilus i Kressyda. — Tytus Andronikus. — Tymon Ateńczyk. — Perykles. — Shakespeare w Polsce. str. 418. Gebethner i Wolff.

Jan Kochanowski: Pisma polskie, wybrane, str. 191, Warszawa Wende.

Zygmunt L. Zaleski: Dzieło i twórca (studya i wrażenia literackie) Albert Samain. — Postawa twórcza L. Staffa. — Z psychologii i dziejów wymowy. — Szlakiem powieści polskiej. — Profile i wspomnienia. — O pierwszem spojrzeniu na dzieło i twórcę. Str. 379, Warszawa 1914 Wende i S-ka.

Marya Rafałowiczówna: Krytyka w szkicach, str. 140, Warszawa, Wende.

Juljan Unszlicht: O pogromy ludu polskiego. (Rola socyal-litwactwa w niedawnej rewolucyi), str. 374, Kraków, Krzyżanowski.

F. K. Ożarowski: Wykład stenografii polskiej dla szkół i samouków z 1500 wzorami stenograficznymi oraz dodatkiem ze wzorami do ćwiczeń, str. 40.

Ferdynand Hoesick: Nemezis powieść współczesna, str. 373, Kraków—Warszawa, Gebethner i Wolff.

Józef Kolski: Powstanie pokładów węgla w Zagłębiu Donieckiem, (odbitka z Przegl. Górn. Hutn.) str. 38, Dąbrowa 1913.

Praca wysokiej wartości naukowej.

Skarbnica polska. Pod tym tytułem we Lwowie zaczął wychodzić tygodnik ilustrowany, poświęcony popularyzowaniu arcydzieł literatury polskiej i obcej. Istotnie, numer, obejmujący 24 stronice dużego formatu, kosztuje 8 kopiejek. Pierwszy zawiera Goszczyńskiego: Król zamczyska. Drugi— Maeterlincka: Błękitny ptak w przekładzie J. Kasprowicza.

GŁOSY.

W Nr. 325 Gazeta Warszawska zamieściła szereg następujących uwag:

Trzeba tropić i tępić fałsz w całem naszem życiu publicznem, zarówno w polityce, jak w pracy kulturalnej. Niech każde dążenie, mniej, czy więcej uprawnione, występuje wobec społeczeństwa szczerze, otwarcie — wtedy dążenia szkodliwe nie będą niebezpieczne, bo wierzymy mocno, że zdrowy instynkt narodu z niemi sobie poradzi. Niech polityka, nazywająca się polską, używająca haseł patryotycznych, nie będzie służbą celom i interesom obcym. Niech praca, zorganizowana dla podźwignięcia kultury kraju w jakiejkolwiek dziedzinie, nie będzie narzędziem pokątnych celów politycznych Jeżeli tych zasad nie będziemy bronili, całe życie nasze spodleje, zamieni się w jedno zorganizowane kłamstwo, cała nasza praca pójdzie na marne i do reszty zmarnieje wielki niegdyś naród.

Można obrócić się w słup soli ze zdumienia nie z ciekawości, że w katechizmie tego pisma tak czyste i zdrowe zapanowały zasady.

Pytanie jednak, która to strona medalu.

Dla uniknięcia przerwy w wysyłce naszego pisma prosimy o wczesne wniesienie przedpłaty lub zawiadomienie listowne o chęci dalszego prenumerowania.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Dnia 9 listopada nadzwyczajne walne zebranie Tow. Macierzy Śląskiej w Cieszynie, stwierdziwszy żywe w całem społeczeństwie polskiem odczucie groźby zamknięcia szkół i zakładów przez nie utrzymywanych, zaznaczyło jednak publicznie jak najdobitniej, że powyższe niebezpieczeństwo nie zostało dotąd usunięte, jakkolwiek wyraziło niezachwianą ufność, że ogół polski nie dopuści do upadku instytucyj, broniących polskości na kresach. Doraźne wpływy do kasy Macierzy wyniosły 35,000 koron, a tymczasem do końca 1913 r. potrzeba jeszcze 90,000, a od 1 stycznia do końca bieżącego roku szkolnego 150,000 koron. Sumy te muszą być wniesione, jeżeli chcemy utrzymać dotychczaso-

wą działalność Towarzystwa. Od 1908 do 1912 r. na Macierz złożyły: Galicya 313,243 kor., Królestwo Polskie z krajami zabranymi 237,787 kor., Śląsk 247,250 kor.; w 1913 r. do 1 listopada do kasy Zarządu głównego wpłynęło z Galicyi 59,689 kor., z Królestwa 16,651 kor. a ze Śląska 75,632 kor. z groszów wdowich ludu śląskiego, jakeśmy to już wskazywali. Chłop śląski i robotnik chętnie daje na Macierz, nie ma jednak dosyć, ażeby bez pomocy innych dzielnic obyć się mogło; w roku bieżącym dał dwa razy tyle, co Królestwo i Galicya.

— We Francyi obchodzono uroczyście w ubiegłym miesiącu dwudziestopięciolecie istnienia instytutu Pasteura w Paryżu. Powstał on ze składek międzynarodowych i zajmuje obecnie czternaście hektarów przestrzeni; ale nie jest jeszcze ostatecznie ukończony. Do 1 stycznia 1913 roku 33,777 osób, przybyłych ze wszystkich stron świata, leczyło się tu od pokąsania przez psa wściekłego. Przed gmachem wznosi się pomnik, wystawiony pierwszemu pacyentowi, pasterzowi z gór Jura, który z kijem w ręku rzucił się na psa wściekłego, ażeby obronić dzieci, bawiące się w pobliżu, i w strasznej walce, uchwyciwszy go za gardło, udusił. Ten pasterz został później odźwiernym w instytucie Pasteura, a Akademia francuska wyznaczyła mu tysiąc franków nagrody za ten czyn bohaterskiego zapomnienia o własnem niebezpieczeństwie.

— Pruskie prawo kagańcowe, zabraniające obradować w języku polskim na zebraniach w miejscowościach, posiadających mniej niż 60% ludności polskiej, zmusiło polaków z zaboru pruskiego do urządzenia zjazdu w Holandyi, która pomimo intryg hakatystów niemieckich gościny im swojej nie odmówiła. Na zjazd przybyło około 1100 uczestników a jego rezolucye wyrażają przedewszystkiem troskę o normalny rozwój polskiego ruchu narodowego w Niemczech. W małem miasteczku zabrakło dla przybyłych noclegów; musieli nocować w kawiarniach, restauracyach i t. p. Na pamiątkę zjazdu wydano kartę pocztową z napisem: „Widok wielkiej sali obrad w Winterswyk. Polacy, obywatele Prus, zmuszeni ustawą kagańcową, wyjeżdżają, ażeby w języku ojczystym się rozmówić, do gościnnej Holandyi“

— Polskie biuro prasowe w Londynie wydało obliczenie, wykazujące, ilu polaków służy w armiach: pruskiej, austryackiej i rosyjskiej. W armii niemieckiej na stopie pokojowej znajduje się ich przeszło 40 tysięcy, w razie wojny byłoby 111 tysięcy na 1 milion 822 tysiące. W wojsku austryackiem procent polaków jest jeszcze większy: 59 tysięcy na stopie pokojowej, a wrazie wojny 82 tysiące. Rosyjska armia na stopie pokojowej liczy 1 milion 200 tysięcy, w tem 120 tysiące polaków, których liczba na stopie wojennej wzrosłaby do 400 tysięcy. Ogółem ilość polaków służących w wojsku w czasie pokoju wynosi 219 tysięcy, w czasie wojny 593 tysiące.

— „Bazar“, jeden z największych hotelów poznańskich, dzieło Karola Marcinkowskiego, dotychczas uważany prawie za „dom narodowy“, obecnie poddany został cichemu bojkotowi z powodu zachowania się jego rady nadzorczej za dni wizyty cesarza Wilhelma w Poznaniu. Z Bazaru, który był uiluminowany, wyjeżdżali wówczas ugodowcy na bankiety do zamku. Bojkot dzisiejszy jest więc wyrazem oburzonej opinii społeczeństwa wielkopolskiego.

— Prasa polska we Lwowie zwraca uwagę na wzrastające rozpowszechnienie żargonu żydowskiego w szkołach wschodnio-galicyjskich. 70 do 80% uczniów są to dzieci żydowskie najniższych warstw. Szkoły tutejsze zalewa syonizm, którego marzeniem jest, ażeby żargon stał się „trzecim językiem krajowym“. W Galicyi zachodniej przeważającą większość w gimnazyach stanowią katolicy i polacy; żydów jest tu zaledwie 10 do 15%, bo w tej części kraju zamieszkują chasydzi, którzy fanatycznie nienawidzą syonistów. Ci ostatni zaś bojkotują każdego żyda, który ośmieli się mówić po polsku. Na zgromadzeniach, zarówno publicznych jak prywatnych, zabraniają obecnym przemawiać w innym języku, tylko żargonem lub hebrajskim. Nienawiść do kultury polskiej szerzy się wśród tych rzesz jak zaraza, nienawiść do wszystkiego, co nie jest żydowskie.

— W imieniu szerszego grona osób bar. Kronenberg i ks. Radziwiłł zwrócili się do władz o pozwolenie na zbieranie składek dla dotkniętej głodem wskutek klęsk i nieurodzaju ludności Galicyi. Na podanie dano im odpowiedź odmowną.

— Z zaboru pruskiego donoszą, iż włościaninowi Tyrakowskiemu, który od niemca nabył gospodarstwo, komisya kolonizacyjna zagroziła wywłaszczeniem. Ponieważ w toku obrad nad projektem prawa wywłaszczeniowego wyraźnie zaznaczono, że stosować się ono nie będzie do drobnej własności ziemskiej, więc też ogół polski z ciekawością wyczekuje dalszych następstw w tej sprawie. Ziemia, w ten sposób zakwestyonowana, należała do hr. Tyszkiewiczowej, która część swej własności rozkolonizowała między niemców. Jeden z nich, nie mogąc się utrzymać, odprzedał swą parcelę Tyrakowskiemu.

— W Pabjanicach i w Łodzi fabrykanci żydzi zaczęli przyjmować robotników żydów na miejsce polaków, na co ci ostatni w jednej z fabryk pabjanickich odpowiedzieli strajkiem. Po tym fakcie w Petersburgu odbył się szereg zebrań robotniczych, na których potępiono robotników polskich za ich antisemityzm. Gdy w Warszawie następnie robotnice żydówki zastrajkowały z powodu przyjęcia do fabryki kilku chrześcianek, w Petersburgu nie odezwał się żaden protest. Dyskretnem milczeniem pokryto ten wypadek.

— Pisma codzienne zwracają uwagę, że wiele drobnych posiadłości na przedmieściach przechodzi w ręce rosyan, których coraz więcej osiedla się na stałe w Warszawie. Nabywają oni w różnych dzielnicach miasta sklepy, sklepiki spożywcze, handle kolonialne, magle, drobne przedsiębiorstwa, jak utrzymywanie wozów i dorożek. Głównem siedliskiem mieszczaństwa rosyjskiego jest Praga i jej okolice.

— W poznańskiem liceum żeńskiem pani Sachse obchodzono jubileusz zwycięstwa pod Lipskiem i śpiewano „Deutschland über alles“. Jedna z uczennic, polka, nie wzięła w śpiewie udziału. Koleżanki, niemki, zadenuncyowały ją przełożonej. Na zapytanie dlaczego nie śpiewała, dziewczyna odpowiedziała, że nie mogła tego pogodzić ze swem uczuciem. Nazajutrz rodzice jej otrzymali zawiadomienie, że córka ich została z zakładu wydalona, gdyż nie można innych uczennic zmuszać do pracowania z osobą, tak myślącą, jak ona.

— Na 560 kwestyonaryuszów, rozesłanych przez żydowski Związek Kupców w Warszawie w celu zbadania obecnego stanu ruchu handlowo-przemysłowego w Królestwie, a jak żydzi mówią „agitacyi bojkotowej“, odebrano 343 odpowiedzi, dostarczające danych z 40 miast i osad w gub. Warszawskiej. Z pośród tych ruch przejawił się w 38, a w 2 niema go wcale. W 20 rozpoczął się po wyborach warszawskich, w 16 istniał już przedtem, lecz następnie wzmógł się. Biorą w nim udział ludzie wszystkich stanów. W 9 miastach robotnicy popierają bojkot bez zastrzeżeń, w 7 w małych rozmiarach, w 8 nie popierają, w pozostałych niema robotników. Wywiad stwierdza słaby jeszcze rozwój handlu polskiego w tych miejscowościach w porównaniu z żydowskim, w 14 tylko odpowiedzi żydowskie przewidują pomyślną przyszłość dla sklepów polskich, w 16 względną lub niepewną; jednocześnie w 18 miastach zły lub bardzo zły stan handlu żydowskiego, w 7 średni; co do reszty odpowiedzi są niewyraźne. Łącznie z tem przewidywane jest wzmożenie się emigracyi żydowskiej z 17 miejscowości.

— W dorocznem zebraniu Towarzystwa Naukowego w Warszawie, które się odbyło ubiegłego miesiąca, wzięła udział po raz pierwszy przybyła z Paryża po długich latach nieobecności w swem rodzinnem mieście p. Marya Skłodowska-Curie. Pobyt sławnej uczonej na ziemi polskiej związany jest z organizującą się przy Tow. Naukowem pracownią radyologiczną, powstałą dzięki hojniejszej ofierze pp. Kernbaumów, której kierunek złożono w ręce odkrywczyni tajemniczej materyi promieniotwórczej. Jeżeli uposażenie, dotychczas ubogiej jeszcze pracowni, da jej możność rozwinąć się do wysokości takiego warsztatu nauki, jakim p. Skłodowska-Curie rozporządza w Paryżu, wówczas być może kierowniczka jej zgodzi się osiąść na stałe w Warszawie. Obecnie trudno jej się dziwić, że badań swoich, tak ważnych dla całej ludzkości, a prowadzonych w warunkach możliwie najidealniejszych, nie chce i nie może poświęcić uczuciom patryotycznym i przywiązaniu do ziemi ojczystej. Jesteśmy za biedni, ażeby ją mieć zawsze pośród siebie. Jak kosztownemi muszą być prace przez nią prowadzone świadczy najwymowniej cena 750,000 franków za jeden gram radu, którego ogółem zdołano dotychczas wyprodukować zaledwie 20 gramów. Francuzi nie żałują milionów na badania nau-

kowe, nas nie stać na taką szczodrotę. A jeśli są tacy między nami, których by stać było, to ci wolą swoje bogactwo lokować w stajniach wyścigowych lub przegrywać w karty po klubach międzynarodowej hołoty. Tam nie brak nigdy ani nas, ani naszych polskich pieniędzy.

— W walce o organizacyę kas chorych robotnicy, domagając się przyjęcia przedstawionego przez siebie projektu, postanowili poprzeć swoje żądanie strajkiem, który agitatorzy socyalistyczni zapragnęli uczynić powszechnym. W tym ostatnim zwrocie chodziło oczywiście o wypróbowanie i zamanifestowanie siły swego wpływu. Manewr nie udał się jednak. Jak stwierdzono ogólnie w dniu oznaczonym od pracy powstrzymała się zaledwie piąta część wszystkich robotników w Warszawie. A że to był poniedziałek, więc i z tych wielu pozostało w domu dla miłego zwyczaju „poniedziałkowania". Na Woli probowano nawet urządzać pochody z czerwonym sztandarem, które policya natychmiast rozpraszała. W dzielnicy żydowskiej było spokojniej niż zwykle.

ZMARLI:

Maksymilian Dobrski, zasłużony działacz społeczny, obywatel i ziemianin.

Ludwik Straszewicz, redaktor i wydawca Kuryera polskiego.

OD ADMINISTRACYI.

Pismo rozsyłamy w pierwszym tygodniu każdego miesiąca wszystkim prenumeratorom regularnie; jeżeli numery giną, winna temu poczta. Prosimy każdego odbiorcę o niezwłoczne zawiadomienie w razie nieotrzymania. Przyjmujemy reklamacye tylko w ciągu jednego miesiąca po wydaniu numeru.

DARY.

Na fermę włościańską Bratne.

Janina Zaleska rb. 100.
Jan Natanson rb. 15.
Z Redakcyi Kuryera Warszawskiego rb. 55.
Niepokojczycka rb. 5.
K. Życki rb. 50.
Z Red. „Prawdy" rb. 5.

ADMINISTRACYA „Humanisty Polskiego" mieści się przy drukarni K. Kowalewskiego, Piękna № 15, Telef. 18-88, otwarta od g. 5—6. Wszelkie listy, przesyłki i gazety adresować należy do REDAKCYI, Wilcza 32. Telef. 115-35.

WARUNKI PRENUMERATY: 3 rb., z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu 3 rb. 30 k. Numer pojedyńczy 30 kop.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.